DZIŚ I JUTRO



Wybrzeże Bałtyku (Gdynia).

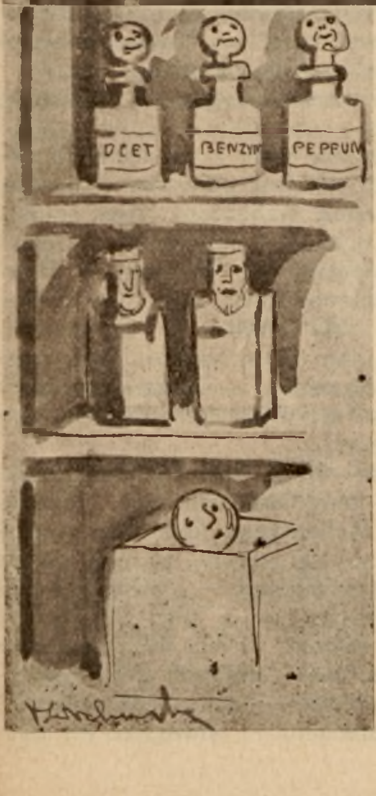
DWUTYGODNIK DLA MŁODZIEŻY ŻEŃSKIEJ.

ROK IV. 1. LUTEGO 1928. Nr. 3.

Cena numeru pojedynczego 60 groszy.

CO SIĘ STAŁO W SKŁADZIKU P. IGNACEGO?





W składziku P. Ignacego panował względny spokój, bo P. Ignacy wyjechał na parę dni wakacyj razem ze swemi okularami, białym fartuchem i strasznie długiemi rękoma. „Mamuty“ na wyższych półkach drzemały dziś słodziej, niż zwykle, bo nietylko że gość rzadki tutaj drzemki im nie przerywał, ale i sąsiedzi też się względnie spokojnie zachowywali. Względnie — bo o spokój wśród tak różnorodnych, z wszelkich krajów i fabryk pochodzących elementów trudno, a w dodatku każdy ambitny, samochwalca, każdy — unikat — na sąsiadów z góry patrzy, i gdyby nie objęcia spokojnego szkła, co to już z natury swej flegmatyczne i bierne, zyskało P. Ignacego zaufanie, nie obeszłoby się co chwila bez katastrofalnych scen i zaburzeń.

Ale dziś każdy miał chwilę wypoczynku. Żółta Siarka spoglądała miłosnem okiem ku eleganckiemu Cynkowi, czekając, rychło-li ich ogień w jedno połączy. — Z szerokiej półki w rogu dolatywał głos gadatliwej plotkarki, Smoły pogazowej, co proszona i nieproszona, opowiadała każdemu ze wszystkiemi detalami dzieje swych antenatów,

i ogarniając przeciągłem spojrzeniem szeregi obok stojących flaszek i słoików, gotowa była od rana do wieczora wysławiać swe liczne potomstwo... Zaczynała zwykle w ten sposób:

„Aspirynko moja kochana, spójrz na mnie, pamiętasz, jak...“ — i następowała przydługa opowieść... Albo:

„Benzolku i Anilinko, zbliżcie się, niech się wam przypatrzę — tak, jak dawniej, w tej fabryce, gdy...“

Boleścią jej serca były najmłodsze dzieci, niewdzięczniki czarne, co w rzeźbionych flakonikach z eleganckiemi etykietami, wyrzekły się rodzicielki i w towarzystwie pięknych dam na swych kolorowych etykietach, czarną smołę w niepamięć puściły...

— Widzi pani, moja kochana — wzdychała tedy dziś znowu głośno Smoła do swej krewniaczki dalekiej, Ropy naftowej: — co to za dzieci, te Perfumy, głowy odwracają, bo im wstyd czarnej smoły... — A kto was na świat wydał, eleganciki z morskiej pianki! A kto wam... — wzruszenie przerywało jej mowę... Ale Perfumy udawały zawsze, z niewzruszoną stałością, że nie słyszą...

Ciemna, oleista ropa, poczciwego z natury i łatwo rozgrzewającego się niedolą serca, pocieszała, jak mogła, swą przyjaciółkę — ale cóż — „nic tak w sercu nie boli, jak niewdzięczność, co kole“ — opiewa przysłowie rodowe Węglowodorów...

Nagle familijną pogawędkę przerwały wzburzone głosy Jodu i Bromu, co nie mogąc indygnacji powstrzymać, wzbierały ciemną parą nad swą powierzchnią...

— Ja Pani łaskawej, Heliantynko złota, jeszcze raz powtarzam, że Pani z nami ani w porównanie iść!...

— Łaskawco, spokojnie, cicho! — mitygował czuły na wszelkie reakcje sąsiadów Lakmus — jeszcze wasza kłótnia i nas ze spokoju wyprowadzi...

Floresceina żółkła, to zieleniała z emocji na tę dyskusję, co tak żywo całą dobraną kompanję na półce trzeciej dotknęła...

Ale Jod wezwał już do pomocy kuzyna, Fluorowodora i krzyczał niepolitycznie głośno na Kwas solny:

— Moi drodzy, przyjaciele moi, bracia kochani, dopomóżcie mi przekonać te bierne, spokojne darmozjady, że im ani w porównanie z nami!... — I unosząc się coraz bardziej, argumentował: — Co to, one stoją — i stoją, a my! Inicjatywy w nas pełno, energja życiowa olbrzymia! Wciąż czyn, wciąż ekspanzja!...

Rtęć uśmiechała się ironicznie ze swej pękatej butelki, doprowadzając do wściekłości rodzinę Chloru, co, choć powinowaty z nią przez Sublimat, nie czuł sympatji do tej lśniącej, wiecznie drwiącej i chichotliwej starej damy...

Wkrótce za urażoną w swej dumie Heliantyną ujęły się wszystkie półki „organicznych“; druga partja, mniej dostojna i skoligacona, ale za to bardzo energiczna, wzięła w obronę ogólnie lubiane i szeroko spokrewnione Chlorowce; zwłaszcza metale, brązowa Miedź, elegancki Antymon z Bizmutem, nobliwa Cyna, nierozłączni bracia, Potas z Sodem w swych poszarzałych garniturach agitowali zawzięcie, ba, nawet zgryźliwy Fosfor dobywał głosu ze swej wodnej kąpieli...

Czuła Sól kamienna ociekała wzruszoną wilgocią łez...

I niewiadomo, coby z tej diskordji wynikło, gdyby nie pisk płaczliwy Wapienia, na który kapnął wzburzony Kwas solny...

Och, och, och! umieram!... — jęczał drżący i pieniący się Wapień: — Przestań, najczcigodniejszy, naj...! — Cicho, ty plebsie, mała szkoda, że cię ubędzie! — huknął nań Fluorowodór. Nie znajdując współczucia, z wyżartą w sercu raną, musiał się wreszcie szary łom wapienny uciszyć...

Ale Kwas solny, raz do akcji pobudzony, nie mógł się uspokoić. Zapomniawszy o Heliantynie, która też powoli ochłonęła ze wzruszenia, zwrócił się ku flaszce z Amoniakiem. — Dawno już miał ochotę zmierzyć się z nim na siły. — Zgryźliwy elegant, pełen wciąż bujnego polotu i sarkazmu, obrzucił go pogardliwem wejrzeniem: — No co, Kwasku — zagadnął drwiąco — widzę, że cię dys-

kusja z Heljantyną zbytnio wzruszyła. Uspokój się, to niezdrowo na trawienie, zaszkodzi ci jeszcze... Zresztą, całkiem daremnie się wzburzasz!... — Więc i ty się za tymi darmozjadami ujmujesz? Myślałem, że mimo naszych wręcz odmiennych sympatyj i zasad, sam będąc zwolennikiem czynu, ku nam się raczej skłaniasz, — wysypał, z trudnością hamując oburzenie Kwas...

— Sympatje — sympatjami — ale że wszelkich nieestetycznych, brudnych, lepkich i kwaśnych cieczy nie lubię, — to prawda... — Ja jestem do polotu, do bujnego życia w przestrzeniach, nie do pełzania stworzony!... — Kwas ledwo się trzymał na nogach... — Czy do mnie pijesz? — Amoniak patrzył już w inną stronę: Rozumiej, jak chcesz, ale się widać poczu... — nie skończył, bo flaszka Kwasu trąciła go gwałtownie. Drgnął przerażony... — Mysz biegała nieprzytomnie wśród słoików i flaszek, nie wiedząc, jak się wydostać z dziwnego otoczenia... Nie miał dziś ochoty zadawać się z tym poirytowanym, źle wychowanym Kwasem...

Nagle rumor, brzęk; szkło konało na podłodze, z pogruchotanemi członkami. Walka była nieunikniona — wzięli się tedy Kwas z Amoniakiem za bary — dymy białe kłębiły się, kotłowały... — Wokół wychylały się ciekawe, przerażone niezwykłem zajściem oblicza; nawet flegmatyczna Gliceryna zerkała przez lornetkę swego grubego szkła, a Mydło usiłowało choć coś dojrzeć przez szpary swych piernatów...

Wtem drzwi się otworzyły, jasność oblała pobojowisko... — Co się tu stało?... P. Ignacy, jeszcze w palcie z drogi, wkładał szybko okulary... — Na podłodze leżały białe warstwy salmiaku, a mysz trzepotała się wśród flaszek... Zadzwonił głośno: — Wojciechu, proszę tu zaraz sprzątnąć, — i jak można było tak nieostrożnie flaszki z brzegu stawiać! Miłe skutki teraz...

Wodór wychylił głowę z Kipa, nadsłuchując, czy nie o niego chodzi, ale Pan Ignacy wyszedł już, trzaskając „zlekka“ drzwiami i mrucząc pod nosem: — Małoż awantur wśród ludzi — jeszcze te chemikalja martwe spokoju nie dają...

Na półkach, wśród „martwych chemikalij“, wzburzone zajściem serca wracały zwolna do równowagi, ale do martwoty było im daleko, oj daleko... — Tylko — kto je podsłucha?...

Ignacy Mazinek

LOURDES.

OBRAZEK SCENICZNY W DWÓCH ODSŁONACH.

OSOBY: Pani Kamińska, Pani Markowiczowa, Wanda Markowiczówna (jej córka), Ludwika Kąskowa, Zofja Kaśnikówna, Aniela Nastowska

PIERWSZA ODSŁONA
(W PARYŻU).

SCENA I.

(W saloniku P. Markowiczowa na szezlongu, czyta. Wanda wchodzi, nachyla się nad matką, całując ją w rękę):

Wanda: Mamusiu, mam wrażenie, że Mamusi trochę lepiej, czy tak?

P. Markowiczowa: Raz lepiej, raz gorzej, jak Bóg da. Nie martw się mną; chcę cię widzieć wesołą.

Wanda: To trudno, kiedy Mama cierpi...

P. Markowiczowa (przerywa jej): Któż to był u ciebie przed chwilą?

Wanda: To Kasia, córka nieszczęśliwej kobiety, która mnie interesuje podwójnie, bo jest bardzo chorą — i naszą rodaczką, Polką.

P. Markowiczowa: Biedna ta polska kolonja w Paryżu. Przyjeżdżają tu dla zabawy, dla nauki, a najwięcej to biedaków, szukających zarobku, o który

tak trudno w Paryżu. Jakże się nazywa ta nieszczęśliwa?

W a n d a: Ludwika Kąskowa, mieszka na ulicy Barjery.

P. M a r k o w i c z o w a (z niepokojem): Jakim sposobem poznałaś ją? Czy byłaś u niej?

W a n d a: Zaprowadziły mnie tam panie z „Towarzystwa Zbawienia“, które pielęgnują chorych, a ubogich zawożą do Lourdes. — Ta biedna Ludwika ma głęboką ranę w czole pomiędzy oczami.

P. M a r k o w i c z o w a: Słuchaj, Wandziu, tego progu nigdy nie przekroczysz, zakazuję ci iść do tej kobiety...

W a n d a: Jeżeli Mama zabrania, z pewnością nie pójdę... Ale dlaczegoż?... Litość bierze patrzeć na nią.

P. M a r k o w i c z o w a: Na litość nie zasługuje, to słuszna kara Boża.

W a n d a: Czyż być może? Cóż ona złego zrobiła?

P. M a r k o w i c z o w a: Wiesz, dziecko, że jestem ciężko na serce chora, to choroba nieuleczalna, każdej chwili może śmierć nastąpić...

W a n d a (przerywa): O, niech Mamusia o tem nie mówi, błagam...

P. M a r k o w i c z o w a: Mojej chorobie winna ta kobieta. Raz jechałam autem z twoim ojcem, gdy pijak, mąż tej Ludwiki, zagrodził nam drogę; powóz zatrzymano, człowiek odniósł tylko lekkie kontuzje, ale jego żona wypadła z tłumu jak furjatka, nazwała nas mordercami, obsypała obelgami, rzuciła się na mnie i chciała mnie uderzyć, lecz zemdlałam i upadłam. Przez trzy dni leżałam w malignie. potem doktor skonstatował, że wytworzyła się choroba serca...

W a n d a (ściska ją czule): Biedna Mamusia... Ach, ta nieszczęsna kobieta.

P. M a r k o w i c z o w a: Przebaczyłam, bom chrześcijanka... ale to chyba dość...

W a n d a: Zapewne, Mamusiu; obiecuję ci, że już tam nie pójdę... (pukają).

W a n d a: Proszę!...

SCENA II.

(Tesame i Pani Kamińska).

W a n d a (idąc naprzeciw): Witamy drogą Panią, jaka Pani dobra, że przyszła.

P. K a m i ń s k a (ściska ją): Jak się masz, Wandeczko! (Podaje rękę chorej): Czy Pani dziś lepiej się czuje?

P. M a r k o w i c z o w a: Jak chora, której lekarze uzdrowić nie mogą.

P. K a m i ń s k a: Bywają uzdrowieni i bez lekarzy.

P. M a r k o w i c z o w a: O wiem, w Lourdes... ale sama podróż dobiłaby mnie.

P. K a m i ń s k a: Kto wie?... Oto znów „biały pociąg“ przywiózł nam mnóstwo chorych, po ludzku mówiąc, niema dla nich nadziei, ale jedziemy z nimi do Lourdes.

W a n d a: Podziwiam Pani heroiczne poświęcenie.

P. K a m i ń s k a: To nie heroizm; prosty miłosierny uczynek, a gdybyś się do nas przyłączyła, Wandziu, przekonałabyś się, ile to radości daje.

W a n d a: O, nie mam powołania na Siostrę miłosierdzia!

P. K a m i ń s k a: To się jeszcze pokaże. (Do matki): Tymczasem przyszłam dziś żebrać dla chorej, którą mam zawieźć do Lourdes. Od trzech lat na swą kolej czeka, jest to matka rodziny, gdzie nędza straszna, mąż pijak, ona po kilku operacjach, ma głęboką ranę między oczami; lekarze boją się tknąć, żeby jej nie zabić.

P. M a r k o w i c z o w a: A więc to Ludwika Kąskowa?...

P. K a m i ń s k a: Czy ją pani zna?

P. M a r k o w i c z o w a: Trochę... (na stronie): Jakto, ja mam jej drogę zapłacić?... Być przyczyną jej uzdrowienia!!!... Ależ Chrystus powiedział: „Czyńcie dobrze tym, co was prześladują“... (Pauza). Proszę pani (podaje banknot).

P. K a m i ń s k a: O, Bóg zapłać, za hojny dar; tem wszystkie koszta pokryję. (Żegna się, odchodzi).

P M a r k o w i c z o w a: Idę się położyć

bom wyczerpana, a ty Wandziu napisz do cioci Rzyszczowskiej, która cię zaprasza do Biaritz.

Wanda (uradowana): Co za szczęście! Pysznie się będę bawiła. (Siada i pisze). (Pukają). — Proszę!...

SCENA III.

Zosia Kaśnikówna (blada, mizerna, przynosi małą paczkę cienkiej bielizny): Dzień dobry, panienko, przynoszę haftowaną bluzkę, nie wiem, czy się spodoba?

Wanda: Jak się masz, Zocha, źle wyglądasz, pewnie w nocy haftowałaś? (Zosia raz po raz pokaszluje. Wanda ogląda robotę): Cudowne, śliczne, to arcydzieło twej igiełki. Niema rachunku?... Pozwól, ja go sama załatwię. (Wręcza jej banknot): Musisz się kurować, Zosiu...

Zosia: Bóg zapłać panience... Co do mnie, odbędę piękną podróż. (Kaszle).

Wanda: Dokądże, nad morze?

Zosia: O nie, do *Lourdes!...* Jadę już 18-go w pociągu chorych.

Wanda: W pociągu chorych!... Ale chyba nie myślisz ich pielęgnować; w dzień zabijająca praca, po nim noc bezsenna, a sama chorą jesteś.

Zosia: Nic nie szkodzi. Bóg szczególną pomoc daje tym, co siebie nie żałują dla Niego... Jestem niewymownie szczęśliwą gdy jestem przy chorych.

Wanda (przechadza się zamyślona: Więc ona sama chora będzie służyć chorym, a ja zdrowa będę się bawiła!... O nie, nie!... (Do Zosi): Proszę Cię, Zosiu, powiedz Pani Kamińskiej, że z wami jadę...

DRUGA ODSŁONA.
(W LOURDES).

SCENA I.
Aniela, P. Kamińska (wchodzi).

Aniela: Dzień dobry, Pani! (podają sobie ręce). W tej chwili odeszła Zosia Kaśnikówna, była przedtem cierpiącą, ale teraz gorzej.

P. Kamińska: Jest jednak szczęśliwą; umie znajdować szczęście w cierpieniu.

Aniela: Czy procesja już wróciła do bazyliki?

P. Kamińska: Za chwilę, pewnie; (patrzy na zegarek): Jest trzy kwadranse na szóstą.

Aniela: A panna Markowiczówna?

P. Kamińska: Nie odstępuje chorej Ludwiki Kąskowej. To dziecko jest heroiczne...

Aniela: Bóg ją może wynagrodzi uzdrowieniem Matki.

P. Kamińska: Nie zanosi się na to. Wczoraj wieczór dostałam depeszę, o której Wandzi jeszcze nie mówiłam: „Nagłe komplikacje, bardzo poważny stan chorej... uprzedzić córkę“...

Aniela: O biedne dziecko! Ostatnie wiadomości były podobno dobre.

P. Kamińska: Z chorobą serca nigdy nie można wiedzieć, co się stanie... Ale słyszę śpiew „Magnificat“, tłumy idą. (Słychać zbliżający się tłum, śpiew przerywany okrzykami: „Niech żyje Matka Boska z Lourdes“... i oklaski dla Uzdrowionych. — We drzwiach ukazuje się Wandzia, prowadząca Ludwikę).

SCENA II.
(Tesame, Wanda, Ludwika).

Aniela: Mój Boże, toż to Wanda... towarzyszy chorej Ludwice... co widzę, już niema bandażu!... Blizna tylko... uzdrowiona?... (Dalej śpiew „Magnificat“ za sceną).

Ludwika (ze łzami...): Tak Pani, jestem uzdrowiona... ja, ja, która wątpiłam... (płacze).

P. Kamińska: Nie płaczcie więc, dziękujcie Bogu!

Ludwika: O, jestem tak szczęśliwą! Płaczę z radości! Nigdy takiej nie doznałam... Czy to możliwe? Czy to prawda?

Wanda: Gdy ksiądz przechodził z Monstrancją, zerwała się nagle, zrzuciła bandaż i wołała na głos: „Już nie cierpię

nic!". Istotnie, otwór w czole znikł, rana zabliźniona... — O Boże, na własne oczy cud oglądam...

Aniela: Jaka to wielka łaska widzieć cud... (Wołania z zewnątrz: „Niech żyje Matka Boska z Lourdes"!... Gdzie jest cudownie uzdrowiona?... — Dobijają się do drzwi).

P. Kamińska (idąc do drzwi): Później przyjdzie... teraz musi się pokazać doktorom. (Do Anieli): Panno Anielo, proszę Ludwikę zaprowadzić do biura tych panów, aby stwierdzili cud i wydali świadectwo, bo czekają na Ludwikę. Zaraz potem pójdziemy razem do kościoła dziękować Bogu... (Ludwika z Anielą odchodzą).

SCENA III.

(P. Kamińska, Wanda).

P. Kamińska: Moja biedna dziecino, uzbrój się w odwagę. Wczoraj przyszła depesza... Mamie gorzej... Komplikacje.

Wanda (z płaczem): Pani, coś złego... Proszę mi nic nie ukrywać... Ależ i ja mam list... jeszcze go nie przeczytałam... (czyta): „Dziecko kochane, dziej się święta wola Boża"; (płacze): „Załączony list do Matki Boskiej przeczytaj i złóż go w grocie: „O Marjo, jeżeli chcesz, uzdrów mnie, ale ofiaruję Ci moje zdrowie, moje życie, dla uleczenia nieszczęśliwszych odemnie. Często ci, co nam źle czynią, więcej warci od nas przed Bogiem"...

Wanda (z płaczem): Teraz rozumiem... i uzdrowienie Ludwiki... i depeszę...

P. Kamińska (tuląc ją): Twoja Matka jest świętą. Okaż się jej godną...

Wanda (krzyżyk od różańca całuje): Bądź wola Twoja, Panie!...

Aniela (wpada): Depesza do Wandzi: „Mama nagle cudem uzdrowiona"! (Padają na kolana): „Magnificat" albo ciche modlitwy.

(*Kurtyna*).

MŁODOŚĆ.

Kto z nas jest młodym? Czy tylko burzliwe,
Wrące uczuciem i bujne natury?
Kto kocha życie? Ten, co wciąż się śmieje
I goniąc szczęście, chce przebijać chmury?

Młodość, to także wiosenna pogoda,
To skowronkowych nut w duszy kapela,
Jest to nietylko ta płomienna radość,
Lecz także cichy płomyczek wesela...

Burze — ślą gromy. Żar uczuć przemija,
Śmiech — w kleszczach bólu rozpryśnie się
[łzami...
A cichy płomyk wprawdzie nie wybucha,
Lecz zawsze goreje swojemi blaskami.

Kto nosi taki płomyk ideału,
Ma młodą duszę, bo ma słońce w duszy,
Nie szuka szczęścia — bo pogodnym wzro-
[kiem
Widzi je wszędzie i każdy ból zgłuszy...

Alina Kwiecińska.

WESELNY TRIUMF.

Minęły już Zaduszki, a czas był jeszcze przedziwnie ciepły, słoneczny.

Listopadowy smętek przeniknął puste pola, nęcąc wzrok ludzki złudzeniem wiosny tam, gdzie młoda zieleniła się ozimina. Na łąkach butwiały resztki pożółkłej trawy, po miedzach czerwieniał ślicznie krzak głogu lub berberysu. Przydrożne drzewa, ogołocone już z liści, obsiadły czarną chmurą wrony i kawki, drażniąc słuch szorstkiem łopotaniem skrzydeł, a przykrem krakaniem.

Po chatach włościańskich w Żarnówce szło jedno wesele po drugiem tak, że podobnej mnogości nie pamiętali najstarsi ludzie we wsi; wszyscy jednak oczekiwali skwapliwie weselnego triumfu panienki ze dworu.

Zjeżdżali się już do Żarnówki goście weselni. Karoce, kolasy i bryczki zwoziły bliższą i dalszą rodzinę narzeczonych. Nadciągała też liczna rzesza przyjaciół i znajomków obojga młodych: jedni dążyli konno, drudzy płynęli łódkami po spokojnym Dunajcu.

Dla starszych osób czekał szereg gościnnych komnat; młodzież nocowała w obszernej sieni, lub w gospodarskich budynkach.

Weszło w zwyczaj u Żarskich z dziada, pradziada, że weselne gody obchodzono ze szumnym przepychem. Więc chociaż ojciec narzeczonej oddawna legł w grobie, pozostała po nim wdowa umyśliła nie zmieniać domowej tradycji i sprawić jedynaczce huczne weselisko.

W głębi duszy pragnęła też chorążyna Żarska pochlubić się wobec krewnych i szerszego świata, że mimo twardych, ciężkich warunków, zdołała utrzymać rodzinny majątek; zarazem pokazać rotmistrzowi Sierpińskiemu, jako bierze pannę pełnej zasług familji i z zasobnego gniazda.

Słońce skłaniało się pewnego dnia ku zachodowi, gdy tam, w żarnowieckim dworze, wybierał się orszak weselny w drogę do kościoła.

Obszerna świetlica przepełniona już była gośćmi. Starsze niewiasty włożyły ciemne suknie z aksamitu lub mory, mężczyźni barwne przywdziali żupany i kontusze, drużbowie i druchny w jasnych wystąpili strojach. A każdy z osobna tyle miał klejnotów na sobie, że gdy czerwona smuga słońca wpadła do komnaty, wówczas zdawało się, iż z rzeźbionego pięknie pułapu zesunął się obłok tęczowy, osypując lśniącemi iskrami zebrane towarzystwo.

Pan Ksawery, rezydent tutejszy, przejęty rolą weselnego starosty — kręcił się po sali w swym karmazynowym żupanie, usiłując rozmową uprzyjemniać gościom chwile czekania. Pomagała mu dzielnie panna Ludmiła, siostra jejmości, w fiołkowej sukni i w białym czepcu z lilla wstążkami, z pod których siwe wyglądały nioby. Drobna, żółta jej twarz drgała uśmieszkiem i spłowiałe oczy świeciły wesoło, choć je kiedy niekiedy przelotna zrosiła łezka.

Wreszcie hajducy otworzyli szeroko wchodowe drzwi, muzyka, umieszczona na galerji świetlicy, zagrała fanfarę — i w pierwszej parze weszła do sali chorążyna Żarska, wsparta na ręku szwagra pana podstolego, któremu przypadło zastępować dziś gospodarza domu.

Wśród obecnych rozszedł się szmer podziwu. Bo też osobliwszy urok bił od smukłej postaci wdowy, strojnej popielatą suknią „w wodę“, przerabianej srebrem i w bramce tegoż koloru szytej perłami, na siwiejących już włosach.

Tuż za nimi przestąpili próg oblubieńcy. Rotmistrz Sierpiński, który wystąpił w złotolitym żupanie — poważny był i szczęściem promienny, a Basia miała dziś cerę twarzy nadzwyczaj białą, nie różniącą się prawie od atłasowej sukni, której przód zdobiły cieniuchne, nader cenne koronki „marcypanowe".

Na jasnych włosach chorążanki lśniła złota korona, opleciona rozmarynem z wazonu, co od laty hodował się w jej basztowej izdebce.



Orszak weselny ustawił się na wspaniałym, perskim kobiercu, który zaścielano w wyjątkowych jeno uroczystościach, a chór druchen i drużbów rzewną rozpoczął pieśń:

...Przeproś, dziewczyno, swoją mateńkę,
W czemeś ją pogniewała,
Jak nie przeprosisz, jak nie przebłagasz,
Nie będziesz doli miała!...

Uklękła Basia przed rodzicielką i panem stryjem, co opiekował się sierotą; ale wpierw wzrok jej spoczął przez krótki błysk chwili na portrecie nieboszczyka ojca. Pani chorążyna, kładąc wychudłe ręce na głowie jedynaczki, rzewnym głosem błogosławiła ją na nowe życie, przyczem wsunęła za gors dziewczynie dukat z ułamkiem chleba i garstką soli.

Z czarnych oczu młodej posypał się krótki sznur pereł — a pieśń nagliła oblubienicę, by szła do dalszych członków rodziny i nie ominęła maluczkich:

...Po raz drugi — przeproś i sługi,
Po raz trzeci — przeproś i dzieci!

Przed dworem stała już kareta z zwierciadlanych tafli, wewnątrz obita błękitnym aksamitem, a ozdobiona rutą i gronami kaliny. Czwórka białych rumaków rwała się z miejsca, jakby pragnąc przyspieszyć oblubieńcom chwilę szczęścia.

Zagrzmiały tony weselnego marsza, drużbowie wsadzili pannę młodą do powozu, zaś pani chorążyna osypała córkę złotem ziarnem pszenicy. I ledwie zdążyła zakreślić jeszcze krzyż w powietrzu, gdy rozochocony stangret strzelił biczem i czwórka rumaków pomknęła z miejsca.

Po drodze rozśpiewały się skrzypce muzykantów, świstały flety, dzwoniły cymbałki, to znów druchny — tęskne zawodziły pieśni. Dziatwa wiejska, obdarzona kukiełkami, skakała z radości, drużbowie częstowali wódką przechodzących włościan, którzy pili duszkiem zdrowie panny ze dworu.

A ona jechała zadumana w sobie. Przed ołtarzem pełnym głosem złożyła małżeńską przysięgę rotmistrzowi.

Z promiennem obliczem wróciła pani Sierpińska w żarnowieckie progi, witana przez matkę chlebem i solą.

A gości opanował odrazu wesoły nastrój: większość zajadała różne przysmaki, gdyż na ucztę godową było jeszcze zbyt wcześnie. Niewiasty gawędziły, mężczyźni siedli do kości lub kart, insi znów publiczne roztrząsali sprawy, zaś młodzież, nie tracąc czasu, puściła się w tan ochoczy!

Na dziedzińcu przed dworem, ustawiono stoły z poczęstunkiem dla okolicznych włościan; a ponieważ zapadł już dawno wczesny mrok jesienny, więc płonęły tu smolne pochodnie.

Kipiała już wrzaskliwa ochota, strzelano z moździerzy, to znów zrywały się rubaszne śpiewy na cześć państwa młodych. Parobcy porwali też wprędce dziewuchy, ogniste wybijając hołupce.

Z uderzeniem północnej godziny, za-

siedli goście do uczty weselnej, w myśl staropolskiej tradycji...

Na stołach ustawionych w podkowę, wiły się gałęzie zielonej ruty, z gronami szkarłatnej kaliny; a wśród srebrnej zastawy i przepięknych kryształów — wznosiło się arcydzieło sztuki kucharskiej: rodzinne gniazdo państwa młodych z kolorowego zrobione cukru.

Tak dwór w Żarnówce, jak też i w Sierpcach przedstawiały się wcale udatnie, a łączył je misternie sklecony most na Dunajcu, któremu ukryty basenik dostarczał płynącej wody. Nad mostem unosił się anioł ze złotemi skrzydłami, dzierżący herbową tarczę nowożeńców.

A oni zajęli już honorowe miejsca przed jabłonką weselną, stojącą na stole: była to duża gałąź, zdobna jabłkami, orzechami, makówką.

Jadalnia skrzyła się światłem nieprzeliczonych świec, kapela grała ogłuszająco, potrawy szły coraz to smakowitsze, szumiał gwar rozmów i wesołych śmiechów.

Wtem starszy drużba uderzył w stół laseczką i wprędce uciszyło się na sali.

Starosta weselny wstał z miejsca, trzymając pamiątkowy puhar, pełen pieniącego się wina. Odrzucił wyloty kontusza, wniósł z namaszczeniem krzaczaste brwi, chrząknął potężnie, wreszcie rozpoczął orację, przezwaną „quamquam“.

Mozolił się pan Ksawery oddawna nad tą mową weselną, układał w najdrobniejszych szczegółach, na pamięć się jej wyuczał.

Więc płynęły teraz z ust rezydenta szumne, kwieciste wyrazy, sławiące przodków młodej pary, uwielbieniem tchnące dla pani domu, przedstawiające Sierpińskiemu, jaki klejnot daje mu Bóg za żonę, wreszcie niosące szereg życzeń dla obojga.

Mówił trochę przydługo, lecz z takiem przejęciem a żywością gestów, że krople potu zmęczone operliły czoło, słuchacze zaś trwali w uroczystem milczeniu.

Po chwili dopiero wychylono toast, wśród grzmiących wiwatów.

Jak z rogu obfitości poczęły się sypać dalsze toasty, z których każdy wypadało spełnić duszkiem. Toż coraz bardziej kurzyło się z czupryn biesiadników.

Nadeszła tymczasem pora oczepin.

Pannę młodą posadzono przemocą na chlebowej dzierży, nakrytej sobolami, przy wtórze żałosnej pieśni:

...Przykryło się niebo obłokami,
Przykryła się Basia rąbkami.
Okrył się jawor listeczkiem,
Nadobna Basia białym czepeczkiem.

Już starościna zdjęła rozmaryn z Basinej główki, chcąc przystroić jasne sploty koronkowym czepcem. Daremnie próbowała zrzucić go oblubienica raz, drugi i trzeci...

Pan Ksawery wypił teraz zdrowie młodei pani z jej atłasowego trzewiczka; za przykładem weselnego starosty poszli wszyscy mężczyzni.

Nastąpiła wreszcie uczta cukrowa: raczono się już w arcywesołych humorach korowajem, ciastami, owocami, — ktoś nie ktoś poczynał nawet skubać słodkie podobizny dworów.

Muzyka grała bez wytchnienia, iżby życie nowożeńców wśród ciągłej upływało radości i szczęścia... Po króciuchnej wreszcie przerwie, kapelmistrz dał nowy znak orkiestrze: spoceni muzykanci zaczęli znów stroić instrumenty, z których rozsnuła się uroczysta nuta poloneza.

Poprowadził młodziutką mężatkę w staropolski tan imć. pan podstoli Żarski, lecz wprędce odbiła ją pani matka, następnie dreptała przy Basi ciotka Ludmiła, zaczem posuwistym krokiem zbliżył się do niej pan Ksawery.

I tak kolejno przetańczył z nią poloneza bliższy lub dalszy członek rodziny, aż stryjeczny brat młodej oddał ją nareszcie mężowi. *Wisława.*

WIESZCZOWI W 100-LETNIĄ ROCZNICĘ WYDANIA WALLENRODA.

Sto lat upływa od chwili, gdy przed oczyma zakutego w pęta niewoli narodu stanęła potężna postać Wallenroda.

Wszystkie bóle, jakie się zrodziły w sercu poety-wygnańca, wszystkie cierpienia, jakie nurtowały w duszy tego, który miał naród wieść drogą czynu i ofiary, wszystkie zgrzyty i bunty, jakie budziły się i szarpały jestestwem wieszcza, co cierpiał i kochał za miljony, wykuły potężną postać bohatera, co żywym się stał protestem przeciw jarzmu ciemiężcy, przeciw kajdanom, jakie wróg na ciało i ducha narodu przemocą zarzucał.

Z bliska się przyjrzał Mickiewicz potędze materjalnej Rosji, temu olbrzymowi, co stopą brutalną dławił bicie polskiego życia, zajrzał w samo serce wroga i głosem potężnym przemówił do swoich, by ognie zapału przelać w serca słuchaczy, a słowem zbudzić rodaków do czynu, który się stać miał świadectwem ich miłości Ojczyzny.

Bo Konrad Wallenrod to wcielenie tej „świętej miłości Ojczyzny“ — tej, którą czuć w całej głębi i potędze umieją tylko umysły szlachetne i wielkie, tej, dla której „nie żal żyć w nędzy, nie żal i umierać“.

Nie zemsta jest motorem działań bohatera, nie obłuda i tępienie wrogów jego celem. Nie — to tylko rozpaczliwe środki, których się Konrad chwyta, to tylko szczeble, po których wstępuje, by cel swój osiągnąć.

A celem jest szczęście Ojczyzny!

Myśl o niej, o tej ukochanej i najdroższej ziemi rodzinnej — myśl o jękach jej synów i trwodze jej niewiast, z życia jego wysnuła pasmo przewlekłe a bolesne długiej i ciężkiej ofiary. — Ona uczucia jego w latach dziecięcych zagrzewała myślą przyszłego czynu — ona mu kazała żyć słowem, którem go karmił stary pieśniarz-wajdelota — ona zaprawiała twarz do obłudy, a w sercu wzniecała ogień nienawiści ku wielkiemu mistrzowi, który go skarbami i bogactwem otaczał.

„Ojczyzna“ to wyraz najdroższy, który ogarnął duszę młodzieńca, co zerwał pęta niewoli, a z chwilą, gdy ujrzał w boju chorągwie litewskie i pieśni wojenne swojego narodu usłyszał — jak sokół chowany w klatce, zwabiony błękitem ojczystego nieba — opuszcza krainę wrogów — i staje wśród swoich, wśród braci, do których wyrywa się sercem całem.

„Ojczyzna“ — ten „wyraz słodszy nad wszystko, któremu nie masz równego na ziemi“ — dźwięczy mu w duszy i w sercu, które pogodzić się z hańbą swych rodaków nie umie. To idea, która domaga się całopalnej ofiary ze szczęścia ogniska domowego, bo ono nie może zaspokoić pragnień wielkich, potężnych i silnych jak huragan, a niszczących jak ogień wszystko, co na przeszkodzie stanie.

„Szczęścia w domu nie znalazł, bo go nie było w Ojczyźnie“...

Poszedł go szukać — walczyć, działać, nieszczęsny — dla nieszczęśliwej Ojczyzny nie znalazł innego ratunku, prócz zemsty i mordu.

Ten „płomień zemsty, w milczeniu karmiony klęsk i cierpień widokiem, wzdął się i serce ogarnął, wszystkie wyłzawił uczucia“ — o wszystkiem kazał zapomnieć, porzucić wszystko i wszystkich.

„Walter sam jeden pozostał — jako wiatr na pustyni, błąkać się musiał po świecie, zdradzać, mordować i potem ginąć śmiercią haniebną“.

Zwycięstwo wieńczy życie ofiary — lecz robak zgryzoty zabija duszę bohatera — spełnił, czego się domagała od niego jęcząca w cierpieniu Ojczyzna — spełnił, by spojrzeć na nią, budzącą się do nowego życia, — by się choć chwilę napawać jej szczęściem — zanim trucizną życia nie zakończył.

Tragiczny los bohatera, to jeden rys z naszej męczeńskiej, a wielkiej i chlubnej przeszłości — zemsta jego to uczucie

straszne, zrodzone w bezbrzeżnie ciężkiej i zabójczej atmosferze niewoli.

Dziś los Konrada i środki, jakiemi się posługiwał, stanowią kartę w historji przeszłości. — Najgłębsze jednak uczucie, co w duszy nieśmiertelnego twórcy stworzyło spiżową postać niewolnika-mściciela żyje i żyć będzie po wieki — wszak to Ojczyzna, po Bogu najdroższa dla serc szlachetnych myśl — „słodszy wyraz nad wszystko, któremu nie masz równego na ziemi.

— — — — — — — — — — — — —
— — — — — — — — — — — — —

Cześć Ci, nasz wieszczu, coś słowem dusze budził z uśpienia i wlewał w nie wiarę i moc.

Cześć Ci, coś uczył nas służyć ofiarnie i z zapomnieniem o sobie jęczącej w niewoli Matce-Ojczyźnie.

Cześć Ci za miłość bez granic, co serce Twe sprzęgła z imieniem Polski na zawsze w pamięci wiernych rodaków!...

M. Al.

CÓRKA ZBÓJNIKA.

(Dokończenie).

W oddalonym wąwozie, na drodze będącej jedynym szlakiem przez łańcuch górski, wrzała bitwa.

Dzień był jasny, niebo bez chmur, a słońce zalewało wąwóz potokami spokojnych promieni. Ściany rumowiska skalnego po obu stronach drogi tłumiły odgłos nawoływań i strzałów i tylko gardłem wąwozu echa poniosą je daleko w doliny...

Herszta ogarnął istny szał. Namiętna żądza walki upoiła go. Świat mu zniknął z przed oczu, zapomniał o wszystkiem i gnał na swoim siwym, górskim koniku, goniąc uciekających kupców. Za nim pędził Tamara, podniecony, śliczny ze swoją orlą twarzą, pełną radości i upojenia. Karawana była już rozbita do szczętu, ale kilku ludzi uszło bocznemi przesmykami, ratując złoto i pieniądze.

Pierwszy dopadł ich herszt. Koń jego równał się już prawie z koniem jednego z uciekinierów, więc ubódł siwosza, dał susa i schwycił tamtego za kark. Rozpoczęło się szamotanie. Ale herszt był silniejszy, więc po kilku sekundach schwycił mu obie ręce i sięgnął po nóż do pasa. Dopiero w tej chwili ujrzał z kim ma do czynienia; to nie był sam kupiec, ale widocznie jego młody syn, który też się znajdował w wyprawie. Głowa jego tonęła prawie w wielkim, barankowym kołnierzu i dlatego zbój nie poznał go przedtem. Teraz jednak przy szamotaniu się szuba osunęła mu się zupełnie. Herszt ujrzał przed sobą młodziutką, prawie dziecięcą twarz i obłąkane przerażeniem oczy.

— Łapać! — krzyczał z tyłu Tamara, ten nam na nic, zadźgać go i łapać tamtych — tamci sakwy wzięli!...

Arson podniósł rękę w górę.

I w tej chwili, niewiedzieć skąd, pod powiekami stanęła mu znowu blada postać Harity, jej zasłonięta rękoma twarz i łzy płynące przez palce. Potem błyskawicznie zdało mu się, że wyprostowała się szybko i że jej wątłe dłonie uczepiły się jego ramienia z upartą siłą, a błagalny głos dźwięczał mu w uszach jak echo: Ojcze, ojcze!...

— Łapaj, co robisz? — wył za nim Tamara. — Arson oprzytomniał. Przed sobą miał nie Haritę, ale młodego wyrostka, którego zabić nie pozwalała mu tamta. Harita też miała 20 lat...

I w tej chwili, rozpaczliwym wysiłkiem woli, herszt zdecydował się na czyn szalony. — Puścił chłopaka; wpakował mu w garść przemocą cugle, które dotychczas ściskał we własnej dłoni i kopnął z całych sił jego konia, wołając: „Uciekaj prosto!... — Będę cię bronił“...

Dziki tętent obił się o ściany wąwozu — z pod kopyt końskich leciały

iskry po kamienistej drodze; usuwały się w dół rzeczułki okrągłe krzemienie i grudki ziemi, wreszcie postać, otulona w burkę futrzaną i kary koń, zniknęli na zakręcie drogi.

Arson osadził konia w miejscu i zawrócił ku tamtym, zagrodził sobą dalszą drogę i zawołał głosem olbrzymim, obijającym się echami po ścianach wąwozu:

— Kto zrobi krok naprzód, tego ja sam potraktuję... Wara!...

I to był najszaleńszy czyn herszta...

— — — — — — — — — — — —

Na zakręcie wąwozu, zbójcy naradzali się, co teraz czynić. Nie mieli żadnej iluzji, że kupcy, którym Arson pozwolił ujść bezkarnie, sprowadzą wojsko i ludzi, udzielą dokładnych informacyj i zaalarmują okolicę. Trzeba było uchodzić jak najśpieszniej.

Pierwej jednak postanowiono rozprawić się z hersztem, który po owej opozycji w górskim wąwozie, nie próbował się nawet bronić; był przecież sam na kilkunastu zbójów, ogarnęła go jakaś rozpacz bezdenna i obojętność na to, co się stanie.

Zbóje związali go silnie, odebrali mu broń, którą miał przy sobie, następnie Tamar w obecności innych zbliżył się do niego i spytał głosem, w którym drgało oburzenie:

— Powiedz mi, proszę, co to ma właściwie znaczyć?...

Tamtych trzynastu czekało na odpowiedź, ale herszt nic nie odpowiedział. Zdawał się zapatrzony w jakiś punkt daleki, tam, kędy góry stykały się z niebem na horyzoncie i milczał.

Może Harita, która obiecała czuwać nad nim, szeptała mu teraz jakieś tajemnicze słowa, że nie słyszał, co do niego mówiono — a może nie chciał rozumieć.

Nie było czasu do stracenia. Zbójcy wywiedli go na cypel sterczący nad wąwozem, poczem Tamara i inni strącili go w przepaść — i poszli, bo spieszno im było.

Wieczór się zbliżał. Nad pasmami górskiemi wisiało przeźroczyste niebo, a zbocza skalne i dalekie smerekowe bory stały skąpane w różowem świetle. Światło to spływało niejako po kamieniach, wsiąkało w rzeczy i przeistaczało je sobą.

Arson leżał na dnie wąwozu z szeroko otwartemi oczyma. Czarne strumyki krwi płynęły zwolna po kamieniach ku rzece. Nad nim kołysała się smutna sosna o pniu płonącym od zorzy wieczornej, i cisza olbrzymia otaczała go, jakby spokojem śmierci...

Żył jeszcze. Nie cierpiał bardzo, nie próbował się poruszyć — czekał na Haritę.

Był tak pewny że przyjdzie, bo obiecała mu w owej godzinie, gdy klęczał nad jej tapczanem ze skór — że weźmie go ze sobą do światła... — Oto już zorze zapaliły się na niebie, ucichły dawno odgłosy bitwy, a lada chwila na zakręcie drogi ukaże się jej postać umiłowana... Ach, jak szczęśliwym się czuł, że straszna przeszłość została za nim daleko, a przed nim spokój, przebaczenie i radość...

Wtem nad sobą usłyszał lekkie kroki, a ktoś położył mu ręce na oczach... — To ty, Harita? — szepnął ostatnim wysiłkiem. I wydało mu się, że ona objęła go ramionami, że podnosi go gdzieś za sobą, że dźwiga go w przestworza i że oboje płyną razem ku światłu, w dal różową...

Taki był koniec Arsona.

S. M. T.

PŁUG I MŁOT.

Bajeczka

W rolniczym sklepie pług z młotem
Zaczęli rozmowę o tem,
Kto z nich jest pożyteczniejszy
I mądrzejszy.

— Gdy ja nie zaorzę ziemi,
Mówił ten pierwszy rozgłośnie,
— Źle będzie z wami wszystkiemi,
— Bo nic na niej nie wyrośnie..

— A kiedy ja nie wykuję
— Z metalu dobrych narzędzi,
— Nikt z was nic nie wybuduje,
— I w lesie życie przepędzi...

Na to pan sklepowy
Słysząc te rozmowy,
Zawoła:

— I pług i młot mało wart zgoła
— Bez człowieka.
— Wyższa opieka,
— Wszystkiemu wartość nadawa.

— I rolnik i rzemieślnik równe mają [prawo
— I równe są ich zasługi...

— Prawda! — rzekł jeden i drugi.
Teraz pług z młotem
Wie o tem...

Ale ludziom czy zawsze wiadoma ta droga.
Że człowiek też narzędzie w rękach Pana [Boga?

Ludwika Życka.

WIDZENIE W CIEMNOŚCI.

(Podług Pfeiffera).

Oko ludzkie dostrzega małą tylko część promieni świetlnych, nie reaguje bowiem na promienie ultraczerwone i ultrafioletowe, które chwyta i utrwala płyta fotograficzna. Uczeni angielscy i amerykańscy wnioskują stąd słusznie, że ciemna noc może być przepromieniona falami, dla oka naszego niewidzialnemi. Być może, że reaguje na nie oko tych zwierząt, które widzą w nocy, tembardziej, że niektóre z nich posiadają zdolność rozszerzania źrenicy dla pochwycenia jak największej ilości rozproszonych fal świetlnych.

Szkotowi J. L. Baird udało się zamienić pewne promieniowanie ciemne na widzialne. Rzucał on reflektorem na ciała niewidzialne w ciemnościach, snopy promieni ultraczerwonych, które, po odbiciu, chwytane na odpowiednio urządzoną płytę optyczną, stawały się widzialnemi dla ludzkiego oka. Korzyści, wynikające z tego wynalazku, są ogromne, zwłaszcza dla celów wojennych (wykrycie zbliżającego się w ciemnościach nieprzyjaciela, fotografowanie okolic, fortec i t. d.).

Kohlhörster i Millikau wykryli w atmosferze promienie kosmiczne — być może, że uda się w przyszłości fotografować z ich pomocą, bez użycia promieni ultrafiołkowych.

W każdym razie wynalazek Bairda zużytkują żeglarze i piloci, którym ten nowy sposób oświetlania wskaże podczas mgły i burzy latarnię morską i pole do startu.

I może niejedno chore, na widzialne promienie świetlne niewrażliwe oko, zareaguje na odpowiednie zwłaszcza promieniowanie ciemne. Wiemy dziś dobrze, że fantazje i marzenia dnia wczorajszego stają się często rzeczywistością dnia dzisiejszego.

M. Sł.

CZŁOWIEK CZYNU.

„Współkochać przyszłam — nie współnienawidzić“.
(*Sofokles — Antygona*).

Słowa powyższe mógł z całą prawdą powtórzyć Ten, co odszedł niedawno — ale którego duch żyje między nami — ś. p. Antoni Osuchowski. — Dni długiego życia aż do ostatka wypełniała Mu praca dla Narodu ofiarna, bezpartyjna. — Syn emigranta, urodził się w roku 1849 w Paryżu — szkoły kończył w Warszawie, by dla kraju stanąć do pracy jako adwokat — ale na pierwszy plan wysunęła się jego działalność społeczna. Gdy Bismarck miljony na germanizację kraju przeznacza — Osuchowski zbiera drogą prywatną — bo inaczej możności nie było, fundusze dla ratowania zagrożonej ziemi, polskości... Gdy język polski ze szkół usunięto — staje Osuchowski do walki cichej o polskość przez działalność w Towarzystwie Czytelni ludowych w Poznaniu, przez zakładanie polskich czasopism. Kochające jego serce odczuło bóle Narodu w Cieszyńskiem — i oto staje znów jałmużnik wielki przed społeczeństwem — zbiera składki na zakładane przez siebie gimnazjum polskie, seminarjum, szkoły ludowe, ochronki polskie, Macierz Szkolną Cieszyńską, Macierz Szkolną w b. Kongresówce itd. itd.

Każda instytucja szlachetna, od szkół ludowych aż do Akademji Umiejętności zawdzięcza mu wiele — wiele...

Sił nie żałował — organizował, w pracy pomagał, ducha zgody i ofiary niosąc, ku społeczeństwu ręce proszące zwracał, i płynęły miljony przez te ręce — bo każdy wiedział, na co i komu daje...

Wojna zaskoczyła go zagranicą — więc w Szwajcarji razem z Sienkiewiczem staje do pracy w Komitecie pomocy w Vevey, a gdy Ojczyzna wolna stanęła — ostatki dni i sił oddaje jej Osuchowski — pracuje i myśli zwłaszcza o tych, których polskość zagrożona — na kresach, — zagranicą tworzy Towarzystwo opieki nad Polakami, zamieszkałymi zagranicą.

Śmierć zastała go w chwili, gdy w mieszkaniu swem własnoręcznie paczki książek do wysłania na kresy przygotowywał. Zmarł w ubóstwie — w pracy i ofierze...

Oby życie tego wielkiego Polaka było zasiewem dusz Jemu podobnych.

S C

Z POLSKI I ZE ŚWIATA.

W styczniu b. r. obchodziła Francja uroczyście **100-letnią rocznicę urodzin Jules Verne'a.** — Pochodzenie słynnego pisarza okryte jest tajemnicą — istnieją dokumenta stwierdzające, że „Jules Verne“ było tylko pseudonimem; podobno władał on językiem polskim.

W Grodnie ma stanąć **pomnik ku czci Orzeszkowej,** a we Lwowie zawiązał się komitet do zbierania składek na wzniesienie pomnika Mickiewicza w Wilnie.

W styczniu b. r. wypadła **10-letnia rocznica proklamowania niepodległości Ukrainy.** Po upadku caratu Ukraina dążyła początkowo, ufna w sprawiedliwość, do współżycia w federacji z Rosją, wkrótce jednak dalsze wypadki z bolszewikami okazały jej jasno, że nie tędy droga dla jej pomyślnego rozwoju. Toteż gdy na rokowaniach brzeskich bolszewicy zaczęli przemawiać w imieniu Ukrainy. Centralna Rada Ukraińska proklamowała swą niepodległość. — Bolszewicy nie dali jednak za wygraną. Wśród 3-letnich krwawych walk kraj został wyniszczony, czego dowodem głód z roku 1922, wypadek nieznany dotąd w historji żyznej Ukrainy, Dziś kraj wyniszczony wzdycha do zwolnienia z jarzma bolszewickiego.

W Meissen w Saksonji fabryka porcelany zaczęła wyrabiać porcelanowe dzwony, które mają duże powodzenie.

Powstał **nowy język międzynarodowy**, podobno łatwiejszy od „esperanta“, t. zw. „occidenta“ (warto nadmienić, że otwarty przy uniwersytecie krakowskim lektorat sztucznych języków międzynarodowych jest pierwszą na świecie instytucją tego rodzaju).

Największe miasto na świecie, New-Jork, łącznie z okolicznemi miejscowościami, ma już 9,350.000 mieszkańców; (dla porównania: Londyn 7,600.000, Paryż 4,600.000, Berlin 4,126.000).

Lloyd George, były premjer gabinetu angielskiego, wszedł w związek z „United Press of America“, zobowiązując się, że co dwa tygodnie napisze conajmniej jeden artykuł — a że za każde słowo (znak interpunkcji też się za słowo liczy) dostaje jeden funt szterlingów (43·5 zł zarobił w ostatnich trzech latach temi artykułami 39.000 funtów szterlingów.

W Londynie wystawiono na sprzedaż olbrzymi **zbiór marek**, sporządzony w r. 1913 dla cara Mikołaja II. w 300-letnią rocznicę panowania domu Romanowych. Cesarz bardzo lubił ten zbiór i po rewolucji zabrał go z sobą na Syberję — skąd wreszcie różnemi drogami przywędrował ten zabytek do Londynu. — Nasuwa się mimowoli refleksja, ile głębokich prawd życiowych i ile nieznanych zdarzeń mógłby opowiedzieć ten martwy album.

Koła uniwersyteckie obchodziły w tym miesiącu uroczyście **jubileusz Brücknera**, zasłużonego historyka literatury i języka polskiego.

Calles odznaczony został, jak donosi: „Stimmen der Zeit“ masońskim „medalem zasługi najwyższej Rady obrządku szkockiego“.

W tym roku starożytne **miasto Carcassone we Francji** obchodzić ma 20-stowiecze swego istnienia. Twierdza Carcasso za czasów rzymskich, poprzez panowanie Wizygotów-Saracenów — przeszła wreszcie pod rządy Franków. — Starożytny podwójny mur z 53 basztami, amfiteatr rzymski i t. p. czynią zeń cenną pamiątkę-muzeum po minionych wiekach.

W San Domingo ma stanąć wielka **latarnia morska** ku czci Krzysztofa Kolumba. Koszta jej obliczone na 4-ry miljony dolarów.

Nowy prymas Węgier, Seredyj, przybył z Rzymu do swej ojczyzny.

Obliczenia Ministerstwa Poczt i Telegrafów z 31 grudnia ub. r. wykazały, że **liczba radjosłuchaczy w Polsce** wynosi 115.000 — z otwarciem radjostacji w Katowicach i Wilnie wzrośnie ta liczba z pewnością znacznie. (Dla porównania: W Stanach Zjednoazonych na 27 miljonów mieszkańców 5 miljonów ma radjoaparaty).

W styczniu b. r. otwarto ruch turystyczny **aeroplanem z Genewy na Mont-Blanc**. — Odtąd ma kursować tam codzień aeroplan na 8 pasażerów.

WŚRÓD KSIĄŻEK.

Marja Gerson-Dąbrowska: „Laleczka z saskiej porcelany“. — Historja jednej majowej nocy w 4-ch odsłonach. (Wydawnictwo M. Arcta w Warszawie).

„Laleczko z saskiej porcelany,
Twój uśmiech — niby cudny kwiat...
Ach, powiedz, który twój wybrany?
Każdy z nas piękny, każdy chwat.
Laleczko z saskiej porcelany
Chcesz wielbicieli? — jest nas trzech!“.

W tym melodyjnym rytmie utrzymana jest cała książeczka. Na skrzydłach rymów dostajemy się do krainy lalek i ze wzruszeniem widzimy chwilę, w której serduszko zimnej, porcelanowej figurynki drgać poczyna, a w tem drgnieniu poznaje czar uczucia, głębię litości i słodycz przebaczenia. Ładnym kontrastem odbijają zadzierzyste postacie wiejskich lalek, szorstkością stylu bawi kudłaty

Miś, pierwiastek komiczny doskonale reprezentuje towarzystwo salonowe wypudrowanych markiz i wytwornych panów.

Rzecz cała nadaje się przedewszystkiem na scenę. Przy tanich, oryginalnie pomyślanych kostjumach, efektach świetlnych i dobrych chęciach, można, włożywszy oczywiście nieco pracy, stworzyć przemiłą opowieść o fantastycznych dziejach porcelanowej laleczki.

Zuzanna Morawska: „Na posterunku". Powieść historyczna na tle życia ks. Józefa Poniatowskiego. (Nakład Księgarni św. Wojciecha, Poznań). — Treść książki obraca się naokoło rycerskiej postaci ks. Józefa Poniatowskiego, bohatera narodowego, który wolał zginąć w falach Elstery, niż z „posterunku" ustąpić. Autorka podkreśla prawość charakteru ulubieńca narodu i silną wolę, która nie pozwoliła księciu zejść z twardej drogi obowiązku i cieszyć się godnościami i zaszczytami. Poniatowski pozostał wierny Napoleonowi i w służbie tej wykazał jasno, jakiem powinno być pojęcie nieskalanej czci żołnierskiej.

W książce Zuzanny Morawskiej znajdujemy głęboką, poważną treść, ciekawy sposób ujęcia, ładną formę i cały szereg ciekawych poglądów. To też „Na posterunku" zajmie każdego, kto historją Polski choć trochę się interesuje i na poważniejsze sprawy umie spojrzeć okiem, pełnem skupienia.

Konrad Machczyński: „Mozaika wilcza". (Wydanie drugie, z przedmową Juljana Eismonda· Winieta okładkowa i 4 ilustracje wewnętrzne prof. St. Sawiczewskiego. Wydawnictwo Księgarni św. Wojciecha, Poznań). — „Mozaika wilcza" jest ciekawą lekturą przeżyć myśliwskich. Cały szereg tragicznych i komicznych przygód, umiejętnie przeprowadzona akcja, która swą różnorodnością fascynuje czytelnika, śliczne tło przyrody — oto warunki, wystarczające, aby książka znalazła się w rękach wszystkich, lubiących świat zwierzęcy, w którym bohaterowie kochają się równie gorąco jak ludzie.

„Mozaikę wilczą" przyrównać można do dramatu, rozgrywającego się w zaciszach starych borów. Niebezpieczeństwo, walka, śmierć — a nieustraszony myśliwy igra własnem życiem, zasłaniając się starodawnem przysłowiem: „Nosił wilk razy kilka, ponieśli i wilka"!...

OD REDAKCJI.

Jutrzenko swobody. — Masz słuszność. „Sztandar Marji, to sztandar Chrystusa". Przez Sodalicję Marjańską dążysz do miłości Chrystusa w Eucharystji. Dla Ciebie samej to razem się łączy. Jednakże do Sodalicji przyjmuje się tylko starszą młodzież, a nie dzieci. Dla tych zaś jest właśnie „Krucjata Eucharystyczna" — Stowarzyszenie szerzące miłość i cześć Pana Jezusa w Najśw. Sakramencie. Często się zdarza, że Sodaliski starają się o założenie „Krucjaty Eucharystycznej" wśród swego najbliższego otoczenia. Gdybyś chciała je w tem naśladować, to rad i wskazówek szukaj w piśmie temu dziełu poświęconem, p. t. „Hostja" (Kraków, Kopernika 26).

W Twoich próbach pisarskich widzę znaczny postęp. Bądź nadal tak wytrwałą, to może wkrótce i Twoje prace w druku się ukażą. — Za projekt okładki dzięki. Znać starania, ale do druku się nie nadaje.

A. B. w Świerszczowie. — W nadesłanem sprawozdaniu z wycieczki byłby zajmujący opis Gdańska, szczegóły podróży należałoby znacznie skrócić.

Promyczku. — Sądzę, że gdybyś w „Gawędach" zapytała, jak idzie praca społeczna w innych Sodalicjach, to otrzymałabyś odpowiedzi zajmujące i podda-

jące nowe pomysły śpieszenia ludziom z pomocą. Przypuszczam, że wasze wspólne zebrania wszystkich Sodalicyj dużo wam dają.

Marylo T. w Tarnowie. — Za listy, wiersze i artykuły — dzięki. Nie zrażaj się tem, że nie wszystko idzie do druku. Trzeba i innym szkołom i czytelniczkom zostawić miejsce.

Marylkę M. z Poznania — chętnie do grona „Gawędziarek" przyjmiemy. Pisuj często i do „Gawęd" i do Redakcji.

Za wszystkie inne listy choć nie wymienione, serdecznie dziękuję. Wszystkie z zajęciem czytuję, ale teraz to najbardziej wyczekuję wykazów, artykułów, wierszy i ilustracyj, które najbardziej podobały się wam w III-cim roczniku (1927 r.) naszego pisma.



Hallo! Hallo! — Kto zyskał najwięcej prenumeratorek **„Dziś i Jutro"**? Wy nie wiecie i my nie wiemy.

Hallo! — Ogłaszamy

KONKURS!

Kto do dnia 1-go kwietnia b. r. zyska najwięcej prenumeratorek, otrzyma w nagrodę prześliczny szal batikowy i roczną prenumeratę „Dziś i Jutro".

Batik czeka na zwycięzcę!...

Nadto, kto zyska przynajmniej 5 prenumeratorek — otrzyma śliczną książkę.

Prosimy nadsyłać do Redakcji dokładne adresy, imiona i nazwiska nowych prenumeratorek, oraz osób, które je pozyskały.

GAWĘDY PRZYJACIELSKIE.

(Rubryka ta zawiera swobodną wymianę myśli młodych czytelniczek (młodzieży uczącej się). Zwolenniczki jak i przeciwniczki zdań przedkładanych mogą tu głos zabierać — Przy odpowiedziach należy podawać oprócz pseudonimu adresatki, także numer *listu, na który się odpowiada).*

433. Fiołek leśny do Błędnego Ognika 403. Zdaje mi się, że szczęściem nazwać można nietylko wymarzone zamki lodowe, ale naszą bujną, pełną życia młodość, spędzaną przy boku kochających rodziców. Młodość nie jest też pozbawioną trosk, jednak trzeba umieć znosić chwile przykre i nigdy nie tracić nadziei.

434. Fiołek leśny do Czarnego Oczka 396. Zgadzam się z Tobą, że niema pewnie takiej osoby, którаby nie miała powierniczki swoich myśli, wrażeń. Ale powierniczka to nie przyjaciółka, którejby można bez wahania poradzić się w ważnych przedsięwzięciach, lub zwierzyć ze swoich trudności. O takie właśnie przyjaciółki bardzo trudno, bo któraż z naszych koleżanek może mieć tyle doświadczenia życiowego, aby rozstrzygnąć nieraz bardzo zawikłane sytuacje.

Jak uważasz, czy przyjaciółki powinny być o podobnych temperamentach, upodobaniach, celach, czy mają ich poglądy biec zupełnie odmiennemi torami?

Sądzę, że gdy niema wspólnego ukochania jakiegoś ideału, jakiegoś węzła, nierozerwalnie łączącego, wówczas nie może być mowy o przyjaźni.

435. Wiosna do Limby 393. Zaciekawił mnie twój pseudonim. Dlaczegoś taki obrała?

436. Wiosna do Trójki 386. Niesłuszne zarzuty robicie, twierdząc, że w listach „wysilamy" się na styl barokowy. Pisujemy pod pseudonimami, żeby szczerze wypowiadać swe myśli i dążenia.

437. Wiosna do Gawędziarek. Za-

stanawiam się nad jedną rzeczą i nie umiem jej rozwiązać, a mianowicie, czy oczy są wyrazem duszy w każdej chwili?

438. Marysia J. do „Poznaj swój kraj“ 419. Bardzobym była rada, gdybyś tak chciała ze mną pogawędzić. Ojczyznę naszą kocham bardzo i chciałabym ją dokładniej poznać. Lubię bardzo lekcje geografji.

439. Marysia J. do Figlarki 420. Moim ulubionym autorem a raczej autorką to Marja Rodziewiczówna. Jej dzieła znam prawie wszystkie i z największą przyjemnością je czytam w wolnych chwilach, choćby po raz wtóry.

440 Marylka-Goplana do Gawędziarek. Od dawna już czytam „Dziś i Jutro“. Podziwiam Wasze piękne myśli, które wzajemnie wymieniacie. Postanowiłam przyłączyć się do Waszego grona. Czy przyjmiecie mnie? Czy chętnie będziecie pisały do „Marylki-Goplany z Poznania“? Myślę, że nadzieje moje nie zawiodą mnie, to też z niecierpliwością wielką oczekuję następnego Nr. „Dziś i Jutro“.

WSPOMNIENIE Z KOLONJI HARCERSKIEJ.

Państw. Gimnazjum żeńskie w Krotoszynie.

Gwizdek! — Przechadzka! — rozległy się głosy druhenek.

Wybiegłyśmy przed dom, gdzie oczekiwała nas druhna oboźna i w przyjacielskim szyku wyruszyłyśmy na wieczorną przechadzkę. Słońce wysyłało ostatnie promienie, a natura cała powoli układała się do snu. Szłyśmy z radością, nucąc harcerskie piosenki. Chciałybyśmy iść tak daleko, daleko, ale rozkaz druhny-komendantki wezwał nas do powrotu. Zgromadziłyśmy się przed krzyżem przydrożnym, aby wspólnie odmówić pacierz, śląc modlitwę dziękczynną przed tron Ojca naszego, Pana i Króla świata. Udałyśmy się do obozu i w pół godziny spoczywałyśmy na naszych królewskich posłaniach. Zapanowała cisza, tylko zdala dochodzące rechotanie żab, zdawało się nas do snu kołysać.

Nagle... co to? — Czy to już ranek? Nie, to głos druhny oboźnej: „Alarm!“ „Za pięć minut zbiórka!“ Wnet powstał gwar i popłoch: „Gdzie moja pończocha?“ — „Gdzie mój mundurek?“. — I ja muszę wołać: „Gdzie mój drugi but?“ — Szukam, przewracam, niema. Poczciwa harcerska dusza, pożyczyła mi jakieś buciki... Gwizdek! Wyruszyłyśmy znów na wycieczkę. Noc zimna i ciemna, tylko z trudem przez chmury przebijający się księżyc, zdawał się śmiać z naszych dzikich pomysłów.

Zaczęłyśmy harcerską piosenkę:

„Ledwie skowronki, srebrzyste dzwonki, w lazurach nieba, rozpoczęły gwar. — Już z kijem w dłoni, w świat przed się goni, gwiżdżąc wesoło uśmiechnięty skaut. Hej, ha! Świat przed sobą ma, raz, dwa, trzy, naprzód skautki marsz! — Niechaj leniuchy, gdzieś u poduchy, gnuśnym, leniwym oddają się snom. — Skautka od świtania, w polu ugania, błękitna przestrzeń, oto jej dom. Hej, ha! i t. d.

Nagle nasza malutka „Kiełbaska“ zawołała: — Tak mi źle iść! Jeden but mam własny, drugi cudzy — i to jeszcze na wyższym obcasie!...

Oglądamy buciki „Kiełbaski“, a ja ze zdumieniem spostrzegam, że to mój but tak jej dokucza!

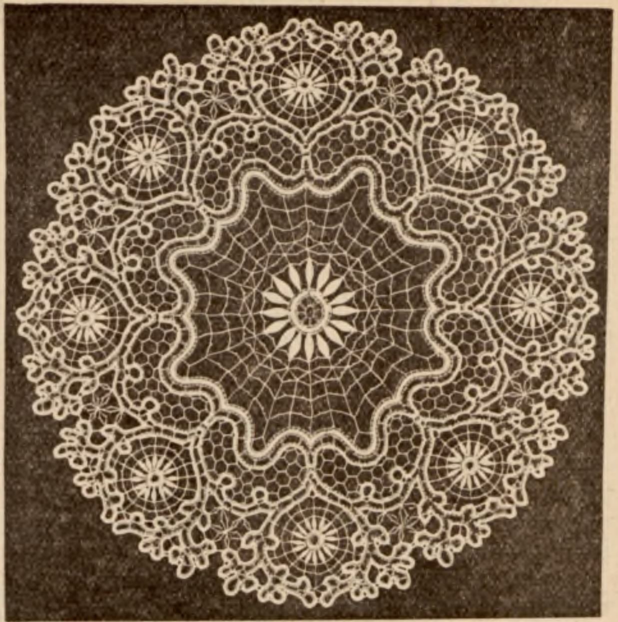
Wesołe i rozbawione wróciłyśmy do obozu i wkrótce znów smacznie zasnęłyśmy, pełne wrażeń po „Alarmie“

Stefa.

ROBOTY RĘCZNE:

SERWETKA KLOCKOWA

Projektował Karol Kłossowski
Wydź. Państwowa Szkoła Koronkarstwa w Zakopanem.



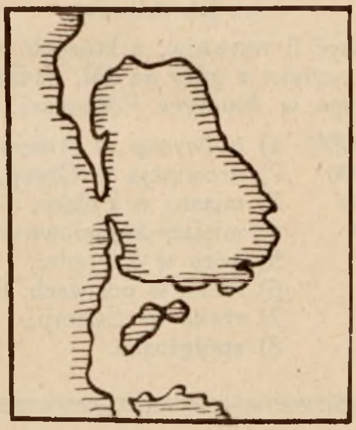
KONKURS DLA MIŁOŚNIKÓW NAUKI.



I.



II.



III.

Podajemy trzy ilustracje: I i II z zakresu zoologji, III przedstawia zatokę (na półkuli północnej). Przeznaczamy specjalną nagrodę za dobre objaśnienia nadesłane przed 1. marca.

ŁAMIGŁÓWKI.

SZARADA.

(Nadesłał Leon Borowski z Warszawy).

Pierwszą wziętą odwrotnie mamy w alfabecie;
Poszukajcie tam drugiej, także ją znajdziecie;
Druga z czwartą — to utwór zwykle wierszowany;
Trzecia z czwartą jest rzeką, w naszym kraju płynie;
Pierwsza z czwartą — kobieta, co z piękności słynie
Tak dalece, że Jowisz był w niej zakochany.
Wszystkie — imię kobiety, co się rzadko zdarza,
Nie znajdziesz go, choćbyś zajrzał do kalendarza.
A gdy w końcu dopisze się jedna litera,
Utworzy się greckiego imię bohatera

*

LIST DO POPRAWIENIA.

W pewnej książce opublikowano wyjątek z listu biskupa, zaproszonego na sobór do Nicei. Czy można list ten przyjąć jako autentyczny?...

...„My, biskup Jan Mateusz, zaproszeni na sobór powszechny, mający się odbyć w roku Pańskim 325, donosimy wysokim Dostojnikom Kościoła św., że z poniżej podanych powodów przybyć nie możemy“...

*

ŁAMIGŁÓWKA GEOGRAFICZNA.

(uł. Jola Radecka).

Ułożyć 8 wyrazów, z których pierwsze litery czytane z góry na dół, dadzą nazwę półwyspu w Ameryce Północnej.

00000000	1) półwysep w Ameryce pd.,
0000000	2) prowincja w Grecji,
000000	3) miasto w Polsce,
00000	4) miejsce kąpielowe w Polsce,
0000	5) góry w Europie,
000	6) rzeka w pd.-wsch. Europie,
00	7) rzeka na Syberji,
0	8) spółgłoska.

Rozwiązania łamigłówek.

Z NUMERU 20-go 1927 r.:

ŁAMIGŁÓWKA.

P
R a
Z a n
S t a W
S t o
I ł
O
d
y m
j a r
o d r a
w o d a
s k i
k u
i

ZAGADKA.

Buk — areszt.

TREŚĆ Nr. 3.

Warunki prenumeraty „Dziś i Jutro“: Kwartalnie 3 zł., półrocznie 5 zł. 50 gr., rocznie 10 zł. — W Ameryce 2 dolary.
Za dodatek **„Mój Światek“** prenumerujący „Dziś i Jutro“ dopłacają rocznie zł. 3·50, półrocznie zł. 1·80, kwartalnie 90 gr, numer pojedynczy 15 gr.
Adres Redakcji i Administracji: **Kraków, ulica Starowiślna 3.** — Konto P. K. O. 404.930.

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor:
Julja Felicja Bronikowska.
Odbito w Drukarni Polskiej w Krakowie.


DRVKARNIA-POLSKA
KRAKOW